



Czasem najważniejsze walki to te,
których nie spodziewamy się
wygrać



PIEŚŃ Dawida

AMY HARMON

Autorka bestsellerów „New York Timesa”

Tytuł oryginału: The Song of David

Tłumaczenie: Marcin Machnik

ISBN: 978-83-283-2233-2

Copyright © 2015 by Amy Harmon

All rights reserved.

Without limiting the rights under copyright reserved above, no part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise) without the prior written permission of both the copyright owner and the above publisher of this book.

Polish edition copyright © 2016 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://septem.pl/user/opinie/piedaw>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: septem@septem.pl

WWW: <http://septem.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Jeden



Mojżesz

TAG NIE ZOSTAWIŁ żadnego listu, a jego mieszkanie było czyste. Nawet nie tyle czyste, ile opróżnione, popakowane w kartony i z reklamą biura nieruchomości w oknie. Tag nie był zbyt schludnym człowiekiem, co zapewne musiałby zmienić, gdyby Millie się wprowadziła. Za porządek zwykle odpowiadała jego gosposia, ale gdy do niej zadzwoniłem, o niczym nie wiedziała. Nikt nie wiedział. Tag nie powiedział nikomu, że odchodzi. Jego mieszkanie było wystawione na sprzedaż, a samochód zniknął. Razem z nim. I Tag nie zostawił żadnego adresu korespondencyjnego.

Zostawił za to na siłowni kopertę z imieniem Millie. W środku były klucze: jeden do jej mieszkania, drugi do obiektu treningowego, trzeci do baru, czwarty do szafki na akta w jego biurze w siłowni. Zajął nam trochę czasu, zanim dopasowaliśmy poszczególne klucze do odpowiednich zamków. Ale jakoś nie wierzyłem w to, że bawił się z nami w ciuciubabkę, bo to także nie było w jego stylu. On po prostu nie chciał, żebyśmy go znaleźli. A to cholernie mnie przerażało.

W najwyższej szufladzie szafki na akta znajdowało się pudło po butach pełne kaset magnetofonowych. Każda z nich była oznaczona imieniem Taga, numerem i wypukłą nalepką. W pudle znajdował się też mały magnetofon. Taki z przyciskami na końcu i głośnikiem na wierzchu, przypominający trochę fortepian.

Gdy spytałem Millie, czy wie coś o tych kasetach, zaskoczona przebiegła po nich palcami, a potem przytaknęła.

— Musiał to dostać od mojego brata Henry’ego. Henry od zawsze miał ten magnetofon w pokoju. Używał go, żeby bawić się w komentatora sportowego i nagrywać własne relacje z rozgrywek. Oglądał mecze z ojcem i mówił do magnetofonu, jakby był jakimś Bobem Costasem. Mama przed śmiercią kupiła mu dyktafon cyfrowy, ale Henry niczego nie wyrzucił. To on musiał dać go Tagowi.

Tag lubił rzeczy, których dało się dotknąć. Podobnie Millie. Ona musiała dotykać rzeczy, żeby je zobaczyć. On potrzebował dotyku, żeby poczuć więź. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak wkłada taśmy i gada bez końca, żeby przekazać swoje myśli. Opowiadanie w ten sposób historii i śmianie się z nich było jednym wielkim żartem. Próbowałem się na niego rozgniewać, ale wiedziałem, że tak naprawdę zostawił taśmy, gdyż tylko w ten sposób mógł pozostawić Millie wiadomość. Tylko w ten sposób była w stanie bez pomocy osób z zewnątrz dowiedzieć się, co chciał jej przekazać.

— Wiesz, jak się z tego korzysta, prawda? — spytałem.

Przytaknęła.

— Myślę, że one są dla ciebie, Millie — powiedziałem.

— Oznaczył taśmy — szepnęła. — Oznaczył je, żebym wiedziała, w jakiej kolejności ich słuchać.

— Chodzi o nalepki?

Znowu przytaknęła.

— Tak. Mam je na wszystkich ubraniach, a w sypialni trzymam całe pudełko takich nalepek. Liczby, litery, słowa. Chyba zwrócił na to uwagę, gdy mu je pokazałam.

— Tag zawsze zwraca uwagę. Może ci się wydawać, że nie, bo jest niespokojny. Bo się wierci. Ale nic mu nie umyka.

Wargi Millie zaczęły się trząść, a z jej oczu popłynęły łzy. Odwróciłem wzrok, chociaż nie było takiej potrzeby.

Usłyszałem, że wyciąga taśmę, wsuwa ją do magnetofonu i przyciska „play”. Słuchałem do momentu, gdy ciszę wypełnił głos Taga. Wzdrygnąłem się i uśmiechnąłem jednocześnie, bo nie mogłem się zdecydować, czy jestem na niego wściekły, czy się o niego boję.

Pomyślałem, że Tag przypuszczalnie wolałby, żebym nie słyszał, co ma do powiedzenia Millie, więc otworzyłem drzwi biura, żeby zostawić ją samą. Natychmiast rozległo się kliknięcie przycisku „stop”, które przerwało opowieść Taga o jego barze. Wiedziałem wszystko o jego interesach i nie musiałem o tym słuchać, ale Millie miała inne zdanie.

— Mojżeszu? Proszę, nie wychodź. Chcę, żebyś słuchał ich ze mną. Ty najlepiej go znasz. Wiesz o nim to wszystko, co ja chciałabym wiedzieć. I jesteś jego najlepszym przyjacielem. Musisz tego posłuchać ze mną, żeby mi nic nie umknęło. A potem musisz mi pomóc go znaleźć.



POZNAŁEM DAWIDA TAGGERTA, gdy miałem osiemnaście lat, w szpitalu psychiatrycznym. W Montlake. Po raz pierwszy spojrzałem mu w oczy podczas sesji terapeutycznej, na której nad jego ramieniem unosiła się zmarła siostra. Spytałem go, czy zna Molly. Tak miała na imię. Molly. Jego nieżyjąca siostra. Wpadł w furję, podbiegł do mnie, przewrócił mnie na podłogę, a potem, trzymając za gardło, domagał się szczegółów, dopóki nie rozdzielili nas sanitariusze.

Niezbyt obiecujący początek znajomości.

W szpitalu znaleźliśmy się z różnych powodów. Ja zostałem tam umieszczony przez ludzi, którzy się mnie bali, a Tag przez ludzi, którzy go kochali. Ja widziałem martwych ludzi, a on chciał umrzeć. Byliśmy młodzi, samotni i zagubieni, a ja nie chciałem być znaleziony. Pragnąłem uciec na koniec świata, żeby śmierć musiała mnie gonić.

Tag chciał po prostu zrozumieć świat.

Może chodziło o to, że obaj byliśmy młodzi. Może o to, że obaj siedzieliśmy w psychiatryku i niespecjalnie paliliśmy się do wyjścia. A może o to, że Tag ze swoim nosowym głosem i kowbojską osobowością był zupełnie inny niż ja. Niezależnie od powodu połączyła nas swego rodzaju przyjaźń. Możliwe, że dlatego, że on mi wierzył.

Bez wahania. Bez zastrzeżeń. Bez osądzania. Wierzył mi i nigdy wierzyć nie przestał.

Tag i ja zostaliśmy na trzy dni umieszczeni w izolatkach za bójkę w trakcie sesji terapeutycznej i obaj mieliśmy zakaz wychodzenia. Trzeciego dnia odosobnienia Tag wparował do mojej izolatki i zamknął za sobą drzwi.

Spojrzałem na niego złowrogo. Zdziwiło mnie, że drzwi były otwarte. Sam nawet nie spróbowałem ich otworzyć. Było mi głupio, że siedziałem trzy dni w pokoju z otwartymi drzwiami.

— Patrolują korytarz co kilka minut i tyle. To było wyjątkowo proste. Powinienem być przyjść wcześniej — stwierdził, siadając na moim łóżku. — Jestem Dawid Taggart, nawiasem mówiąc. Ale możesz mi mówić Tag. — Nie przeprosił za duszenie mnie i nie zachowywał się, jakby chciał to powtórzyć, co mnie rozczarowało.

Jeśli nie zamierzał się bić, to wolałem, żeby sobie poszedł. Bez słowa wróciłem do rysunku, nad którym pracowałem. Czulem obecność jego siostry. Jej obraz migotał za ścianami wody. Westchnąłem ciężko, bo miałem już dość Molly. A jeszcze bardziej miałem dość jej brata. Oboje byli niewiarygodnie uparci i odpychający.

— Jesteś stukniętym skurwielem — obwieścił bez ogródek.

Nawet nie podniosłem głowy znad rysunku, który wykańczałem ogryzkiem ołówka woskowego. Staralem się zapewnić sobie stałe dostawy. Moje zapasy zbyt szybko się kończyły.

— Tak mówią ludzie, prawda? — ciągnął. — Że jesteś stuknięty. Ale ja tego nie kupuję, stary. Już nie. Ty nie jesteś stuknięty, tylko masz zdolności. Szalone zdolności.

— Szalone, stuknięte. Czy to przypadkiem nie to samo? — mruknąłem. Geniusz i szaleństwo są sobie bliskie. Zastanawiałem się, o jakich zdolnościach mówił, bo przecież nie widział, jak maluję.

— Nie, stary — odparł. — To nie to samo. Stuknięci ludzie muszą siedzieć w takich placówkach. A ty tu nie pasujesz.

— Chyba jednak pasuję.

Zaśmiał się, wyraźnie zaskoczony.

— Uważasz, że jesteś stuknięty?

— Nie, że jestem pęknięty.

Tag przechylił głowę w zadumie. Milczałem jednak, więc przytaknął.

— No dobrze. Może wszyscy jesteśmy pęknięci. Lub skrzywieni. Ja na pewno taki jestem.

— Dlaczego? — spytałem. Molly znowu unosiła się nad nami, więc zacząłem rysować szybciej, wypełniając kartkę wizerunkiem jej twarzy.

— Moja siostra zniknęła. To moja wina. Nie wyjdę na prostą, dopóki się nie dowiem, co się z nią stało. Będę skrzywiony na zawsze — wyznał tak cicho, że nie wiedziałem, czy ostatnie zdanie mówi do mnie, czy do siebie.

— To twoja siostra? — spytałem niechętnie, podnosząc szkicownik.

Tag patrzył w milczeniu. Wstał. Usiadł z powrotem. W końcu przytaknął.

— Tak — wykrztusił. — To moja siostra.

A potem mi o wszystkim opowiedział.

Jak się okazało, jego ojciec pracował w branży rafinerijnej, chociaż zawsze pragnął zostać ranczerem. Gdy Tag zaczął się pakować w kłopoty i upijać co weekend, jego ojciec kupił pięćdziesięcioakrowe ranczo w hrabstwie Sanpete w Utah i przeprowadził się tam z całą rodziną. Był przekonany, że jeśli odsunie Taga i jego starszą siostrę Molly od starego towarzystwa, uda mu się sprowadzić ich na dobrą drogę.

Dzieci jednak wcale nie zaczęły rozkwitać, tylko się zbuntowały. Siostra Taga uciekła z domu i słuch o niej zaginął. Tag próbował nie pić, lecz nawet gdy tego nie robił, zżerało go poczucie winy. W końcu targnął się na własne życie. Kilka razy. I tak trafił do psychiatryka i poznał mnie.

Milczałem, pozwalając mu się wygadać. Niestety, o jej śmierci wiedziałem dokładnie tyle, ile on, czyli nic. Nie takimi informacjami dzielili się ze mną zmarli. Oni pokazywali mi swoje życie, a nie śmierć. Nigdy nie pokazywali mi śmierci. Gdy Tag skończył mówić, spojrział na mnie ze smutkiem i spytał:

— Ona nie żyje, prawda? Skoro ją widzisz, to znaczy, że nie żyje.

Przytaknąłem. On też przytaknął, przyjmując moją odpowiedź bez dyskusji, z opuszczoną głową, a ja poczułem, że trochę go szanuję. Pokazałem mu więc to, co pokazywała mi Molly, przenosząc na papier wszystkie obrazy, które widziałem, gdy była w pobliżu.

Potem Tag opowiedział o mnie swojemu ojcu, który, powodowany desperacją, przygnębieniem lub zwykłym pragnieniem uspokojenia swojego niewzruszonego syna, zatrudnił faceta z psami, żeby przejechać opisany przez Taga teren. Psy szybko złapały jej zapach i znalazły jej szczątki. Tak po prostu. W płytkim grobie obłożonym kamieniami i gruzem, pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym namalowałem jej uśmiechniętą twarz, odkryto ciało Molly Taggart.

Tag płakał, gdy mi o tym powiedział. Potężny, druzgocący szloch, który wstrząsał jego ciałem i od którego czułem bolesne napięcie w żołądku. Pierwszy raz w życiu zrobiłem coś takiego. Pomogłem komuś. Znalazłem kogoś. Po raz pierwszy moje zdolności, jeśli tak można je nazwać, do czegoś się przydały. Ale Tag na tym nie poprzestał.

Pewnej nocy po zgaszeniu świateł przemknął do mnie przez korytarz, niezauważony jak zawsze, szukając odpowiedzi, których nikt z pracujących tu osób nie był w stanie mu udzielić, a które ja według niego mogłem dla niego mieć. Tag łatwo się weselił, łatwo się wściekał, łatwo przebaczał i łatwo go było sprowokować. Nic nie robił na pół gwizdka. Miałem czasem wrażenie, że ta placówka jest dla niego idealna, bo utrzymuje go w ryzach. Miał też jednak ckliwe oblicze.

— Co się ze mną stanie, gdy umrę? — spytał.

— Dlaczego myślisz, że umrzesz? — odpowiedziałem pytaniem. Mówiłem jak jeden z naszych lekarzy.

— Jestem tu, bo kilka razy próbowałem się zabić, Mojżeszu — wyznał.

— No wiem. — Wskazałem długą bliznę na jego przedramieniu. Trudno było jej nie zauważyć. — A ja jestem tu, bo malowałem zmarłych i wzbudzałem przerażenie wszystkich żyjących, z którymi miałem kontakt.

— No wiem. — Uśmiechnął się, bo on też mnie rozgryzł, lecz jego uśmiech natychmiast zniknął. — Gdy nie piję, życie tak mnie przygniata, że nie potrafię normalnie myśleć. Nie zawsze tak było, ale teraz tak mam. Życie jest naprawdę do dupy, Mojżeszu.

— Wciąż chcesz umrzeć? — zmieniłem temat.

— To zależy. Co jest potem?

— Dalszy ciąg — odpowiedziałem wprost. — Tyle mogę ci powiedzieć. To się tak nie urywa.

— A ty możesz zobaczyć, co jest dalej?

— To znaczy? — Nie mogłem przewidywać przyszłości, jeśli o to mu chodziło.

— Czy widzisz, co jest po drugiej stronie?

— Nie. Widzę tylko to, co oni mi pokazują — odparłem.

— Oni? Czyli kto?

— Ci, którzy się przedostaną. — Wzruszyłem ramionami.

— Szepczą coś do ciebie? Potrafią mówić? — Tag też szeptał, jakby to był jakiś podniosły temat.

— Nie. Nigdy nic nie mówią. Pokazują mi tylko różne rzeczy.

Tag zadygotał i podrapał się po karku, jakby próbował zetrzeć gęsią skórę, która pojawiła się na jego plecach.

— Potrafisz zobaczyć wszystko? Całe ich życie?

— Czasem tak mi się wydaje. To może być powódź barw i myśli, z których jestem w stanie wyłapać tylko przypadkowe rzeczy, bo przelatują przeze mnie zbyt szybko. Co więcej, mogę dostrzec tylko to, co rozumiem. Jestem pewien, że oni woleliby, żebym widział więcej, ale to nie takie proste. Wszystko jest kwestią subiektywną. Zazwyczaj widzę fragmenty i części, nie zaś cały obraz. Wyrobiłem się jednak w filtrowaniu, a im lepiej mi idzie, tym bardziej odczuwam to jak przypominanie sobie i tym mniej jak bycie opętanym. — Uśmiechnąłem się wbrew sobie, a Tag potrząsnął głową ze zdumieniem.

— Mojżeszu? — Wyrwał mnie z zamyślenia.

— Tak?

— Nie zrozum mnie źle... Ale jeśli, wiesz, jest coś dalej. I nie jest to złe. Ani przerażające. Nie jest to żadna zombie-apokalipsa... ani ogień i siarka... na ile oczywiście jesteś w stanie to stwierdzić... to po co tu zostawać? — Jego głos był tak cichy i tak przesiąknięty emocjami, że nie wiedziałem, czy jestem w stanie mu jakkolwiek pomóc. Nie byłem pewien, czy znam odpowiedź. Zastanawiałem się przez minutę i w końcu wpadłem na rozwiązanie, które wydawało mi się zgodne z prawdą.

— Bo wciąż będę mną, a ty wciąż będziesz sobą.

— Co masz na myśli?

— Nie jesteśmy w stanie uciec od samych siebie, Tag. Tu, tam, na drugim końcu świata czy w psychiatryku w Salt Lake City ja jestem Mojżeszem, a ty Tagiem. I to się nigdy nie zmieni. Więc albo rozwiążemy swoje problemy tu, albo tam. Ale i tak będziemy musieli je rozwiązać. Śmierć tego nie zmieni.

Przytaknął powoli, wpatrując się w moje dłonie. Rysowałem obraz, którego ani on, ani ja tak naprawdę nie rozumieliśmy.

— To się nigdy nie zmieni — szepnęła niczym echo. — Ty jesteś Mojżeszem, a ja Tagiem.

— Uhm — przytaknąłem. — I chociaż czasem jest to przykre, to niesie też ze sobą pewną pociechę. Przynajmniej wiemy, kim jesteśmy.

Nigdy więcej nie pytał o własną śmiertelność, a po tej rozmowie zyskał pewność siebie, której przypuszczałnie kiedyś miał aż za wiele. Sprawiał wrażenie, jakby planował swój następny ruch. Ja wciąż nie miałem pojęcia, co ze sobą zrobić.

— Co zrobisz po wyjściu? — spytał pewnego dnia przy kolacji z wzrokiem wbitym w jedzenie i z dłońmi na stole. Potrafił zjeść przynajmniej tyle samo co ja. Byłem przekonany, że obsługa kuchni w Montlake ucieszy się, gdy już sobie pójdziemy.

Nie chciałem z nim o tym rozmawiać. Nie chciałem o tym rozmawiać z nikim. Patrzyłem więc uporczywie na lewo od głowy Taga, za okno, żeby mu dać do zrozumienia, że jestem gotów zakończyć już tę konwersację. On jednak nie ustąpił.

— Masz prawie dziewiętnaście lat. Jesteś oficjalnie poza systemem. Gdzie pójdziesz, Mo? — Nie wiem, dlaczego uznał, że może do mnie mówić „Mo”. Nie udzieliłem mu pozwolenia. Ale on taki właśnie był. Znajdował sposób, żeby wbić się w moją przestrzeń.

Zerknąłem na niego przelotnie i wzruszyłem ramionami, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Mój pobyt liczył się w miesiącach. Boże Narodzenie, Nowy Rok, luty. Trzy miesiące w szpitalu psychiatrycznym. Żałowałem, że nie mogę zostać dłużej.

— Chodź ze mną — stwierdził Tag, rzucając chusteczkę i odsuwając tacę.

Zdumiony, odchyliłem się na krześle. Przypomniał mi się odgłos jego płaczu, to lamentowanie, które niesło się korytarzem, gdy został przyjęty na oddział. Było to niemal miesiąc po moim przybyciu. Leżałem w łóżku i słuchałem, jak próbują go uspokoić. Wtedy nie wiedziałem, że to on, dopiero później skojarzyłem fakty, gdy opowiedział mi, dlaczego tu wyładował. Przypomniało mi się też, jak na sesji, na której się poznaliśmy, skoczył na mnie z pięściami i wściekłością w oczach, niemal oszalały z bólu. Z zamyslenia wyrwały mnie jego dalsze słowa.

— Moja rodzina ma pieniądze. Zasadniczo nic więcej nie mamy, tylko całe góry forsy. A ty nie masz niczego.

Siedziałem sztywno i słuchałem. Nie mylił się, *nie* miałem niczego. Był moim przyjacielem, pierwszym prawdziwym przyjacielem... prócz Georgii. Ale nie chciałem od niego niczego. Ani tego co dobre, ani tego co złe, a Tag miał w nadmiarze i jednego, i drugiego.

— Potrzebuję kogoś, kto będzie pilnował, żebym się nie zabił. Musi to być ktoś wystarczająco rośły, żeby mnie unieruchomić, gdy postanowię się sponiewierać. Zatrudnię cię, żebyś spędzał ze mną każdą minutę, gdy nie śpię, dopóki nie wymyślę, jak wyrzucić z siebie pragnienie podjęcia sobie nadgarstków.

Zdezorientowany, przechyliłem głowę na bok.

— Chcesz, żebym cię unieruchamiał?

Tag parsknął.

— Tak. Uderz mnie w twarz, rzuć na ziemię. Wykop ze mnie cały szajs. Jednym słowem: pilnuj, żebym przeżył i nie pił.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy jestem w stanie coś takiego zrobić. Uderzyć go, rzucić nim o ziemię. Unieruchomić go, aż przejdzie mu ochota na picie lub śmierć. Byłem duży. I silny. Ale Tag też nie należał do ułomków. Moje wątpliwości chyba były wyczuwalne, bo Tag znowu zaczął mówić.

— Potrzebujesz kogoś, kto ci wierzy. A ja ci wierzę. To męczące, gdy ludzie wciąż uważają cię za świra. Ja wiem, że nim nie jesteś. Musisz mieć gdzie pójść, a ja muszę mieć kogoś przy sobie. To nie jest zły układ. Ty chcesz podróżować, a ja nie mam nic lepszego do roboty. Jedyne, w czym jestem dobry, to bójki, a te mogę znaleźć wszędzie. — Uśmiechnął się i wrzucił ramionami. — Szczerze mówiąc, nie ufam sobie jeszcze na tyle, żeby zostać samemu. A jeśli wrócę do Dallas, zacznę pić. Lub się zabiję. Potrzebuję cię.

Powiedział to zupełnie naturalnie. „Potrzebuję cię”. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że tak twardy facet, który wdawał się w bójki dla samej przyjemności walki, mógł się przyznać do czegoś takiego. Lub w coś takiego wierzyć. Ja nigdy nikogo nie potrzebowałem. Nie tak na serio. I nigdy nie powiedziałem do nikogo takich słów. „Potrzebuję cię” brzmiało niebezpiecznie podobnie do „kocham cię” i miałem wrażenie, że narusza jedno z moich praw. Lecz w tej sytuacji, przepełniony niepokojem związanym z nadchodzącym dniem i perspektywą odzyskania wolności, musiałem przyznać, że ja też potrzebowałem Taga.

Tworzyliśmy dziwną parę. Czarny młodociany przestępca, który nie może przestać malować, i wielki Teksańczyk o prowokacyjnej postawie i gęstych włosach. Tag miał jednak rację. Obaj utknęliśmy w martwym punkcie. Byliśmy zagubieni. Nic nas nigdzie nie trzymało ani nie ciągnęło w żadną stronę. Ja pragnąłem odzyskać wolność, a Tag nie chciał być sam. Potrzebowałem jego pieniędzy, a on potrzebował mojego towarzystwa. Smutne jak zazwyczaj. Zatem postanowiliśmy wyruszyć. Uciec. Nie oglądać się za siebie.

— Będziemy po prostu uciekać, Mojżeszu. Jak ty to mówiłeś? Tu, tam, na drugi koniec świata? Nie uciekniemy od siebie, więc będziemy razem, dopóki się nie odnajdziemy, dobrze? Dopóki nie wymyślimy, jak się z tym uporać. — Tak właśnie powiedział. I tak zrobiliśmy. W ten sposób Tag Taggart został moim najlepszym przyjacielem. Był przy mnie, gdy go potrzebowałem, i nigdy mnie nie opuścił.

Więc muszę go odnaleźć.

Najbardziej przerażało mnie to, że być może znalazł odpowiedzi na swoje pytania. Że może dobrze wie, co robi. I kim jest. Może rozumiał świat. Ale w wieku osiemnastu lat zawarliśmy umowę. A według mnie danego słowa się nie cofa.

— Potrzebuję kogoś, kto będzie pilnował, żebym się nie zabił. Musi to być ktoś wystarczająco rośły, żeby mnie unieruchomić, gdy postanowię się sponiewierać. Uderz mnie w twarz, rzuć na ziemię. Wykop ze mnie cały szajs. Jednym słowem: pilnuj, żebym przeżył i nie pił — powiedział. Chciał, abym pilnował, żeby przeżył.

Miałem nadzieję, że nie jest na to za późno.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA



Helion SA

Dawid walczył od dzieciństwa. Jeździł po świecie, imprezował, wydawał pieniądze, ale to walka stała się sensem jego życia. Kształtowała go. Dawid, zwany Tagiem, stał się impulsywnym i prowokacyjnym młodzieńcem. Nie stronił od alkoholu. Kiedy zaginęła jego starsza siostra, w poczuciu winy targnął się na własne życie. Kilkakrotnie.

Dopiero spotkanie z Mojżeszem umożliwiło mu uporządkowanie własnego wnętrza, choć okoliczności narodzin tej przedziwnej przyjaźni były niecodzienne. W życiu Taga pojawiła się także niewidoma Millie. Od razu wiedział, że to ktoś zupełnie wyjątkowy, o kogo warto walczyć. Millie stała się dziewczyną życia Dawida i kochała go całym sercem. Dzięki niej czuł się bezpieczny i akceptowany. I nagle zniknął bez śladu. Sprzedał mieszkanie, zabrał samochód i wyjechał bez słowa pożegnania, nie zostawiając choćby wskazówki, dokąd i dlaczego odchodzi.

Książka, którą trzymasz w dłoni, nawiązuje do bestsellerowej powieści Amy Harmon *Prawo Mojżesza*. To napisana w niezwykle sugestywny sposób historia o miłości i przyjaźni, o upadkach i podnoszeniu się z kolan, o porażce i zwycięstwach. To emocjonalna opowieść o poszukiwaniach, tęsknocie i rozpaczliwych próbach znalezienia odpowiedzi na najtrudniejsze pytania — o sens życia, miłości i przyjaźni.



AMY HARMON



Jest autorką bestsellerów, ale mówi o sobie, że jest „zwyčajną żoną i mamą”. Pochodzi z Levan w stanie Utah, opiekuje się dziećmi i oczywiście pisze. Pisanie zawsze sprawiało jej ogromną radość, choć pierwsze powieści opublikowała zaledwie kilka lat temu. Jej książki zostały wydane w siedmiu krajach, zdobyły wiele nagród i wyróżnień (Wall Street Journal Bestseller, New York Times Bestseller, Whitney Award, Swirl Award i inne).

 **editio red**

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
● <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
● <http://editio.pl/nowosci>

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint.PL



ISBN 978-83-283-2233-2



Cena 39,90 zł